

VR-owy bohater

Żarzące się rozszczepionym blaskiem promienie wczesnopołudniowego słońca przesuwają się z wolna po przyprószonych wielowarstwowym kurzem spróchniałych sprzętach przytulnego skądinąd poddasza w stylu vintage. Nieposiadający się z radości rudowłosa i co nieco cherlawy kilkunastolatek zanurzył się w wysublimowanym świecie meganowoczesnej gry komputerowej. Znużony wcale nieponadprzeciętną szkolną harówką, zażenowany blamażem swej odpowiedzi z szeregu homologicznego kwasów karboksylowych, oto wreszcie szast-prast i jak za dotknięciem różdżki mógł przedzierzgnąć się w superbohatera wszech czasów, wzuć stumilowe ciżemki, wskoczyć gibko do pięcioipółletniego cadillaca i przyodziawszy designerski strój w jasnoniebiesko-czerwone esy-floresy zanurzyć się w wirtualną rzeczywistość, która pozwalała rozprężyć się co nieco i otrząsnąć z harmidru siermiężnego szkolnego anturażu (entourage'u). Naówczas, nie chcąc zmitrężyć ani pół sekundy, nasz hoży heros chyżo zapuścił się w gęstwinę nad wyraz zatrważającej dżungli, zamierzając eksplorować skrzętnie ukryte w roślinnym kamuflażu pradawne ruiny Azteków. Znalazłszy się w katakumbach świątyni bóstwa hołubionego przez okoliczne plemię i zauważywszy wydrążony w skale ołtarzyk, a w nim arcypiękny posążek z wysokowartościowych kruszców, przedstawiający pradawnego azteckiego pół-boga w towarzystwie żmii zjadającej własny ogon, nasz cud-miód, malina podróżnik zmiarkował, że musi to być skarb, którego znalezienie powierzył mu arcymistrz gry. Bezzwłocznie zachachmęcił artefakt, mimo że ów strzeżony był przemożnie, po czym nie nazbyt ochoczo podążył wzdłuż turni. Wskutek swej horrendalnej nieroztropności musiał w krótkich abcugach pierzchnąć przed osuwającym się z niemożliwą prędkością głazem, którego zadaniem było zmiżdżenie gracza i zrobienie zeń naleśnika. W pół godziny wespół ze strachu quasi-podróznik opuścił ruiny, tudzież sążniste chaszczce, gdy znienacka zaatakowały go strzały rozwścieczonej watahy tubylców, zażarcie niedopuszczających do tego, by jacyś etranżerzy szwendali się na obrzeżach świątyni. „Ożeż ty!” - zachnął się strwożony nasamprzód gracz, dzierżąc bezcenną zdobycz i zamierzając żarliwie ruszyć na pohybel niebezpieczeństwu, co i tak wydawałoby się lepszym posunięciem

niż nicnierobienie. „A nuż, widelec, może się uda!” - pomyślał nie bez hysterii. Na szczęście ostatnim rzutem trzeźwego, niepograżonego w hurraoptymizmie (huraoptymizmie) oka zauważył stojącą nieopodal rozklekotaną po trosze awionetkę, którą nietrudno można by uciec sprzed nosa zgrai zadzierzystych autochtonów. Był już tuż-tuż, wystarczyło, by tylko wskoczył do środka i zapiął uprząż pilota, gdy ni stąd ni zowąd usłyszał zza pleców dokuczliwe brzęczenie swojego iPhone’a. Chwila moment i mieniący się dotychczas feerią barw ekran monitora zastygł w bezruchu, po czym przybrał ciemnoszarą barwę i zamarł do umentu. Ojciec, ten ciemężyciel okrutny, wyłączył internet.